

Nie ma chyba takiego kibica Romy, który nie byłby dumny z tradycji rzymskiej drużyny. Myśląc o przeszłości wspominamy zwykle momenty chwały, piękne zwycięstwa, smutne, ale honorowe porażki. Ale i w historii Giallorossich zdarzały się momenty mniej szczytne. O tych mówimy rzadziej, a czasem nawet nie wiemy, że takie miały miejsce. W ramach lekcji trudnej historii: sezon 1964/65.

W sezonie tym na ławce rzymskiej drużyny zasiada, wśród tysiąca polemik, dawny trener Lazio, Juan Carlos Lorenzo. Sprzedani zostają Sormani, Orlando i Malatrasi, a na ich miejsce przychodzą Tomasin i Tamborini. Wracają też Schnellinger i Nicolè. Zespół jest skromny, nie ma więc wielkich ambicji w tym przejściowym okresie, a jego ligowe wyniki są zaledwie wystarczające. Ale za to w listopadzie Roma wygrywa swój pierwszy Puchar Włoch, pokonując w finale Torino. Rozstrzygający okazuje się gol Nicolè w spotkaniu rewanżowym.

Sezon jest burzliwy. Trener nie jest lubiany przez kibiców za swoje podejście do Angelillo, Nicolè zmaga się z serią kontuzji, Manfredini nie jest już tym samym graczem z poprzednich sezonów. Na koniec zespół zajmuje 9 miejsce razem z Foggią, z tylko 31 zdobytymi punktami na koncie. Zespół odpada także z Pucharu Miast Targowych, gdzie szybko zostaje wyeliminowany przez Ferevencvaros. W przedostatniej kolejce Lorenzo zostaje zwolniony, a ławka na ostatnie spotkanie powierzona zostaje Naimowi Krieziu, mistrzowi Włoch z 1942. Mecz Roma-Foggia kończy się 1-1, a Manfredini, który po sezonie żegna się z zespołem i kibicami, strzela ostatnią bramkę w barwach Giallorossich.

Ale najtrudniejszy moment sezonu następuje w okolicach Bożego Narodzenia. Zespół ma poważne problemy finansowe i nie ma funduszy nawet na wyjazd do Vicenzy. W efekcie Lorenzo, w ostatnim dniu roku, organizuje tzw. "colletta al Sistina", zbiórkę pieniędzy pośród kibiców. Gromadzi piłkarzy, którzy nie są świadomi w jakim celu to robi, w teatrze Sistina. Zebrane zostaje 800 tysięcy lirów. Żeby ocalić twarz Roma zadeklaruje potem, że pieniądze zostały przeznaczone na cele dobroczynne, ale jednak szkody nie da się cofnąć. Przez pozostałą część sezonu piłkarze Romy będą obiektem kpin kibiców przeciwników, którzy rzucać będą monety na murawę boiska. Na koniec sezonu zespół jest jednak gotowy do wielkiego przegrupowania.

La colletta del Sistina

W tym dniu, kiedy Lorenzo poprosił o pieniądze w teatrze, Giacomino Losi wstydził się, jak nigdy wcześniej.

To był poranek szczególny pod każdym względem. Widzami zgromadzonymi w teatrze Sistina byli kibice Romy pełni mieszanych emocji, wśród których dominowały rozgoryczenie i żal. Atmosfera „mrocznych czasów”. Roma przechodziła trudny moment. Wydawało się, że zarządzający klubem Marini Dettina prowadzi go do upadku, przynajmniej finansowego. Nieprzemyślane działania na rynku

transferowym obciążęły budżet tak bardzo, że klub nie wypłacił piłkarzom listopadowych pensji, a ci zagrozili strajkiem. Interweniowały władze Ligi, wprowadzając odrobinę porządku. Franco Evangelisti uznał, że nadszedł moment, na wykonanie decydującego kroku w planie, który dążył do zastąpienia Dettiny. Dżentelmen ten, który był zresztą hrabią, zupełnie nie nadawał się do nerwowego piłkarskiego świata pełnego sprzeczności, zmian, niedopowiedzeń, złamanych obietnic.

To miało być emocjonujące Boże Narodzenie. Trzeba było przygotować wyjazd do Vicenzy, który przewidziano na początek nowego roku, a brakowało wszystkiego: entuzjazmu i pieniędzy. Juan Carlos Lorenzo postanowił powierzyć sam sobie rolę zbawcy ojczyzny, choć nie miał do tego szczególnych predyspozycji. Jego prymitywny pomysł polegał na tym, żeby zebrać kibiców i poprosić ich o datki. Teatr Sistina był więc pełny. Zarówno ludzi, jak i złego humoru. Wszystko było możliwe, ponieważ kibic starej daty, Pietro Garinei przyłączył się do inicjatywy i załatwił udostępnienie zabytkowego teatru na spotkanie.

Ze sceny płynęły słowa wzruszające i potoczyste – w niezbyt płynnym włoskim – Juana Carlosa Lorenzo. Dobite akcenty, wielkie emocje. Wypowiadali się też inni, choć nikt nie wiedział, kim byli. Ludzie chcieli szybko dać to, co mogli, żeby zakończyć przykrą ceremonię. Pod piękną kopułą teatru nigdy nie miało miejsca coś podobnego. Roma, w trudnych momentach, zawsze barykadowała się za swoją odwagą, bez płaczu, bez próśb o pomoc. Kapitanowi Giacomo Losi przypadło zadanie najtrudniejsze: wziąć do ręki pojemnik na lód i przejść przez korytarze, które wydawały mu się w tamtej chwili wyboiste, jak niedostępne ścieżki w górach. Bał się, że zaraz zaczną krwawić mu stopy. Zebrał datki: półtora miliona lirów [dane dotyczące zebranej kwoty różnią się w zależności od źródła – od red.]. Roma miała deficyt o wartości kilku miliardów... Losi powiedział potem, że bał się tamtego dnia, że umrze ze wstydu.

Autor: kaisa